

Film z Rachel Weisz i Samem Claflinem na DVD!

Daphne du Maurier

Moja kuzynka Rachela



1

Dawnymi czasy wieszali ludzi przy Czterech Zakrętach.

Teraz już nie wieszają. Dziś, jeśli mordercę spotka zasłużona kara, dzieje się to w Bodmin, po uczciwym procesie na sesji wyjazdowej sądu. O ile naturalnie wcześniej nie zabije go własne sumienie. Lepsza jest jednak śmierć z wyroku prawa – przypomina bowiem operację chirurgiczną. No i oczywiście skazaniec ma godziwy pochówek, choć bezimienną mogiłę. Za moich dziecięcych czasów było inaczej. Pamiętam, że jako mały chłopiec widziałem takiego człowieka wiszącego w łańcuchach u zbiegu czterech dróg. Twarz i całe ciało miał posmarowane smołą dla zakonserwowania. Wisiał tak przez pięć tygodni, zanim go odcięli, a ja go widziałem w czwartym tygodniu.

Huśtał się pomiędzy niebem a ziemią na szubienicy albo, jak to mówił mój kuzyn Ambroży, między niebem a piekłem. Nieba nie miał nigdy zakosztować, a piekło, którego zaznał, było już poza nim. Ambroży trącił ciało laską. Widzę je jak dziś – tańczące na wietrze niby chorągiewka na dachu – nieszczęsny, przypominający stracha na wróble ludzki szczątek. Spodnie zbutwiały na deszczu i strzępy wełnianej tkaniny wisiały ze wzdętych członków jak rozmoczony papier.

Była zima i jakiś żartowniś dla zabawy zatknął mu w rozdartą kurtkę gałązkę ostrokrzewu. Nawet mnie, wówczas siedmioletkowi, wydało się to oburzające, ale nie odezwałem się słowem. Ambroży musiał mnie tam zabrać celowo – żeby poddać próbie moją zimną krew: chciał zobaczyć, czy ucieknę, czy będę się śmiał, czy płakał. Jako mój opiekun, ojciec, brat i mentor, jako w gruncie rzeczy cały mój świat, poddawał mnie nieustannym próbom. Pamiętam, że obeszlśmy szubienicę dokoła i Ambroży od czasu do czasu trącał ciało laską, aż w pewnym momencie zatrzymał się, zapalił fajkę i położył mi rękę na ramieniu.

– Widzisz, Filipie – powiedział – co nas wszystkich w końcu czeka. Jednych spotka to na polu bitwy, innych w łóżku, jeszcze innych wedle sądanego im przeznaczenia. Od tego nie ma ucieczki. Człowiek nie może być za młody na taką lekcję. Popatrz, jak umiera zbrodniarz. To ostrzeżenie dla ciebie i dla mnie, byśmy wiedli uczciwe życie.

Staliśmy tak ramię w ramię, patrząc na kołyszące się ciało, jakbyśmy byli na jarmarku w Bodmin, a trup był starą Sally, do której się strzelało za koronę.

– Popatrz, do czego może doprowadzić chwila słabości – ciągnął Ambroży. – Oto Tom Jenkyn, głupi i pocziwy, dopóki nie wypił za dużo. Prawda, że jego żona była wiedźmą, ale to jeszcze nie powód, żeby ją zabić. Gdybyśmy zabijali kobiety za ich języki, wszyscy mężczyźni staliby się mordercami.

Żałowałem, że wymienił nazwisko człowieka. Do tej pory bowiem ciało było dla mnie przedmiotem, bez żadnej tożsamości. Od chwili, kiedy po raz pierwszy moje oczy spoczęły na szubienicy, ponad wszelką wątpliwość wiedziałem, że będzie do mnie wracało w snach, martwe i potworne. Teraz nabrało związku z rzeczywistością, z człowiekiem o wodnistych oczach, który w mieście na moło sprzedawał homary. W lecie stał zazwyczaj przy schodach, z koszykiem u nóg,

i puszczał żywe homary, urządzając im – ku uciesze dziatwy – fantastyczne wyścigi. Jeszcze nie tak dawno widziałem go po raz ostatni.

– No, i co powiesz? – zapytał Ambroży, nie spuszczać oczu z mojej twarzy.

Wzruszyłem ramionami i kopnąłem podstawę szubienicy. Ambroży nigdy się nie dowie, jak bardzo mnie to obeszło: na ów widok dosłownie zamarło mi serce i byłem przerażony. Pogardzałby mną. W wieku lat dwudziestu siedmiu Ambroży jawił mi się panem wszelkiego stworzenia, a już z pewnością bogiem mojego skromnego świata i jedynym celem mojego życia było mu dorównać.

– Kiedy widziałem Toma po raz ostatni, miał świeżą cerę – odrzekłem. – Teraz jest nawet na tyle świeży, żeby być przynętą dla swoich homarów.

Ambroży roześmiał się i wytargał mnie za ucho.

– Wspaniały z ciebie chłopak – oświadczył. – Mówisz jak prawdziwy filozof. – I po chwili, jakby coś do niego dotarło, dodał: – Jeśli ci jest niedobrze, idź tam za krzaki i sobie ulżyj, i pamiętaj: ja cię nie widziałem.

Z tymi słowy odwrócił się plecami do szubienicy i do czterech dróg i ruszył wolno nową aleją, którą w tym czasie właśnie brukowano, a która przecinając las, służyła jako droga dojazdowa do domu. Ucieszyłem się, widząc, że odchodzi, nie zdążyłem bowiem nawet dobiec do krzaków. Potem poczułem się jednak lepiej, chociaż jeszcze mną trzęsło i zęby mi szczękały. Tom Jenkyn znów stracił tożsamość i stał się dla mnie czymś w rodzaju starego worka – martwym przedmiotem. A nawet celem dla kamienia, którym w niego cisnąłem. Z duszą na ramieniu czekałem, aż ciało się poruszy. Nic się jednak nie stało. Kamień z miękkim pacnięciem trafił w rozmiękle szmaty i upadł na ziemię. Wstydząc się własnego postępu, pobiegłem nową aleją, żeby dogonić Ambrożego.

No cóż, wszystko to zdarzyło się przed osiemnastu laty i o ile pamiętam, nie myślałem o tym aż do owego momentu kilka dni temu. To dziwne, że w chwilach kryzysu człowiek wraca pamięcią do dzieciństwa. Ostatnio stale myślę o biednym Tomie i o tym, jak wisiał w swoich łańcuchach. Nigdy nie słyszałem jego historii i sądzę, że mało kto dziś ją zna. Zabił żonę, jak powiedział Ambroży. I to wszystko. Była wiedźmą, lecz to nie powód, żeby ją mordować. Pewnie uraczywszy się nadmierną ilością alkoholu, zabił ją w pijanym widzie. Ale jak? Jakim narzędziem? Nożem czy gołymi rękami? Być może tej zimowej nocy wytoczył się z gospody przy molo, cały rozpalony miłością i gorączką. Wysoka fala omywała stopnie, a na wodzie lśnił srebrzyście księżyc w pełni. Kto wie, jakie to śmiałe marzenia ożywiały niespokojnego ducha Toma, jaki nagły wybuch fantazji?

Może dobrnął do domu za kościołem, błądy, z zażawionymi oczami, cuchnący homarami, a gdy tylko przestąpił próg, żona zburzyła jego marzenia, robiąc mu awanturę, że wchodzi z brudnymi butami, i wtedy ją zabił. To bardzo prawdopodobne. Z powodzeniem tak właśnie mogło być. Jeśli – zgodnie z tym, czego nas uczą – istnieje życie po śmierci, to kiedyś odzyskam biednego Toma i go zapytam. Razem będziemy marzyć o czyśćcu. Ale Tom był starym człowiekiem, po sześćdziesiątce, a ja mam dwadzieścia pięć lat. Nasze marzenia nie byłyby jednakowe. Wracaj więc, Tomie, w swoje mroki i zostaw mnie w spokoju. Szubienica już dawno przepadła i ty przepadnij wraz z nią. W swojej głupocie rzuciłem w ciebie kamieniem. Wybacz mi, proszę.

Chodzi o to, że życie trzeba wytrzymać i przeżyć. Tylko jak przeżyć? – oto jest problem. Codzienna praca, obowiązki – to nic trudnego. Zostanę sędzią pokoju jak Ambroży, a z czasem członkiem parlamentu. Jak wszyscy w rodzinie, będę szacownym i poważanym obywatelem, godnie uprawiającym ziemię

i dbającym o swoich ludzi. I nikt nie odgadnie, jak wielki przygniata mnie ciężar i każdego dnia, nękany wątpliwościami, zadaję sobie pytanie, na które nie znajduję odpowiedzi. Czy Rachela była niewinna, czy winna? Może i tego dowiem się w czyścu.

Jakże słodko i pięknie brzmi jej imię, kiedy wymawiam je szeptem. Pozostaje na języku, zdradliwe i powolne w działaniu jak naprawdę skuteczna trucizna. Z języka przechodzi na spieczone wargi, z warg zaś do serca. A serce rządzi ciałem i umysłem. Czy kiedykolwiek pozbędę się z myśli tego imienia? Za lat czterdzieści, pięćdziesiąt? Czy pozostawi na zawsze w mózgu ślad chorej tkanki? Maleńką komórkę w krwiobiegu, niezdolną do tego, by wraz z innymi podążać do źródła, jakim jest serce? Może kiedy już wszystko zostanie powiedziane i zrobione, sam nie będę chciał się od niego uwolnić? Trudno na razie to stwierdzić.

Mam dom, o który zgodnie z wolą Ambrożego powinienem dbać. Mógłbym na nowo otynkować ściany, tam gdzie wchodzi na nie wilgoć, i utrzymywać wszystko w dobrym stanie. Dalej sadzić drzewa i krzewy, by osłonić nagie wzgórza przed srogimi wschodnimi wiatrami. I pozostawić po sobie, kiedy odejdę – jeśli już nie co innego – to przynajmniej legat piękna. Ale człowiek samotny to coś niezgodnego z naturą, wkrótce więc nawiedza go niepokój. Od niepokoju już tylko krok do urojeń. A od urojeń do szaleństwa. I tak wracam pamięcią do dyndającego w łańcuchach Toma Jenkyna. Może i on tak cierpiał.

Wracam pamięcią do tej chwili sprzed osiemnastu lat, kiedy Ambroży oddalał się aleją, a ja biegłem za nim. Być może nawet miał wtedy na sobie kurtkę, którą teraz noszę. Starą, zieloną myśliwską kurtkę z łatami ze skóry na łokciach. Tak się do niego upodobałem, że z powodzeniem mógłbym być jego duchem. Moje oczy są jego oczami, moje rysy jego

rysami. Człowiek, który wtedy zagwizdał na psy i odwrócił się plecami do czterech dróg i do szubienicy, z powodzeniem mógł być mną. No cóż, tego przecież zawsze pragnąłem najbardziej: stać się do niego podobny. Mieć jego wzrost, jego ramiona, przygarbione plecy, nawet jego długie ręce i dość niezdarnie wyglądające dłonie, jego nagły uśmiech, nieśmiałość przy pierwszym spotkaniu z nieznajomym, niechęć do wszelkiego zamieszania, do ceremonii. Oraz swobodę w kontaktach z tymi, którzy go kochali i mu służyli. Ci, co mówią, że mam to i ja, pochlebiają mi bardzo. I siłę, która okazała się złudą, w wyniku czego obaj popadliśmy w te same tarapaty. Zastanawiałem się ostatnio, czy kiedy zmarł, miotany wątpliwościami i dręczony strachem, samotny i opuszczony w tej przeklętej willi, gdzie mnie przy nim nie było – czy jego duch opuścił ciało, by wrócić do domu i żyć dalej we mnie, powtarzając te same błędy. I by również zapaść na tę samą chorobę, i zginąć po dwakroć. Być może. Wiem jedno: że to podobieństwo do niego, z którego byłem tak dumny, stało się przyczyną mojej klęski. Gdybym był innym człowiekiem, szybkim i energicznym, wygadany i z głową na karku, ubiegły rok okazałby się tylko kolejnymi dwunastoma miesiącami, co przyszły i minęły. Miałbym przed sobą szczęśliwą, udaną przyszłość. Z małżeństwem w perspektywie i być może gromadką dzieci.

Ale ja nie miałem żadnej z tych cech, jak zresztą i Ambroży. Obaj byliśmy marzycielami, nieżyciowymi i zamkniętymi w sobie, pełnymi wielkich teorii, które nie miały się gdzie sprawdzić, i jak wszyscy marzyciele, pozostawaliśmy głusi na głosy świata. Nie lubiąc innych ludzi, sami pragnęliśmy miłości, nieśmiali jednak z natury, trwaliśmy w uczuciowej śpiączce, dopóki nasze serca nie zostały przebudzone. A gdy to nastąpiło, otwierały się przed nami niebiosy i byliśmy skłonni oddać dosłownie wszystko. Obaj byśmy to przeżyli, gdybyśmy byli

innymi ludźmi. Rachela przyjechałaby tak samo, ale spędziwszy noc czy dwie na farmie, poszłaby swoją drogą. Omówilibyśmy interesy, dokonali pewnych ustaleń, testament zostałby otwarty formalnie wobec siedzących wokół stołu prawników, a ja – oceniając sytuację na pierwszy rzut oka – zapewniłbym Racheli dożywocie i w ten sposób bym się jej pozbył.

Stało się jednak inaczej, bo byłem podobny do Ambrożego. Stało się inaczej, bo czułem jak Ambroży. Kiedy do niej szedłem, wtedy pierwszego dnia po przyjeździe, i zapukawszy, przystanąłem pod drzwiami jej pokoju z lekko pochyloną głową z powodu niskiej futryny, a Rachela wstała z krzesła przy oknie i na mnie spojrzała – już wtedy, po błysku w jej oczach, powinienem był się domyślić, że widzi nie mnie, tylko Ambrożego. Nie Filipa, tylko ducha. I już wtedy powinna była wyjechać. Spakować manatki i wyjechać. Wrócić tam, gdzie jej miejsce, do willi z żaluzjami, zatęchłej od wspomnień, do sztucznego ogrodu tarasowego, do fontanny tryskającej pośrodku małego dziedzińca. Wyjechać do swojego kraju, prażonego letnim słońcem, zasnutego mgiełką upału, a zimą surowego pod roziskrzonym chłodnym niebem. Jakiś instynkt powinien był ją ostrzec, że pozostanie ze mną oznacza katastrofę nie tylko dla cienia, który spotkała, ale również w końcu i dla niej.

Zastanawiałem się, czy widząc mnie wtedy, jak stoję nieśmiały, niezręczny, chmurny i pełen urazy, a jednak dojmująco świadom swojej pozycji gospodarza i pana domu, świadom boleśnie swoich dużych stóp, ramion i nóg niezdarnego, kanciastego, nieujeżdżonego żrebaka... czy ona wtedy – dumałem – pomyślała szybko: tak musiał wyglądać Ambroży w młodości. Zanim się zjawił w moim życiu. Nie znałam go takim. I dlatego została?

Może również właśnie dlatego ów Włoch Rainaldi podczas naszego krótkiego spotkania spojrzał na mnie, jakby doznając

nagłej iluminacji, którą jednak szybko pokrył zadumą, i bawiąc się piórem, zapytał łagodnie: „Pan przyjechał dopiero dzisiaj? To znaczy, że pańska kuzynka Rachela jeszcze pana nie widziała?”. Jego też ostrzegł jakiś instynkt. Niestety, za późno.

Życie się nie cofa. W życiu nie ma powrotów. Nie ma drugiej szansy. Tak samo nie mogę odwołać wypowiedzianego słowa czy dokonanego czynu jak biedny, dyndający w swoich łańcuchach Tom Jenkyn.

A przecież mój ojciec chrzestny, Nick Kendall, w swój bezpośredni, obcesowy sposób zaledwie kilka miesięcy temu – ale... o Boże, jakżeż dawno – powiedział mi w przeddzień moich dwudziestych piątych urodzin: „Są kobiety, Filipie, w zasadzie dobre, które nie z własnej winy sprowadzają na innych ludzi nieszczęście. Czegokolwiek się tkną, zamieniają to w tragedię. Nie wiem, dlaczego ci o tym mówię, ale czuję, że muszę”. A następnie poświadczył mój podpis na tamtym dokumencie.

Nie, nie ma powrotów – chłopca, który stał pod jej oknem w przeddzień swoich urodzin, chłopca, który stał pod drzwiami w dniu jej przyjazdu, już nie ma, tak jak nie ma dziecka, które dla dodania sobie fałszywej odwagi rzuciło kamieniem w wisielca. Tomie Jenkyn, ty nieszczęsny obrazie doli człowieczej, nierozpoznawalny i nieopłakiwany – czy owego dnia przed laty, kiedy biegłem przez las na spotkanie przyszłości, patrzyłeś na mnie z politowaniem?

Gdybym się wtedy obejrzał przez ramię, zamiast ciebie, dyndającego w łańcuchach, powinienem był zobaczyć własny cień.

2

Kiedy tak siedzieliśmy z Ambrozym pogrążeni w rozmowie przed jego wyjazdem w tę ostatnią podróż, nie miałem żadnego złego przeczucia. Żadnego przeczucia, że już nigdy nie będziemy razem. Mijała trzecia jesień, od kiedy lekarze zalecili mi spędzanie zimy za granicą, i zdążyłem się przyzwyczaić do jego nieobecności i do zarządzania majątkiem. Pierwszej zimy byłem jeszcze w Oksfordzie, więc nie odczułem szczególnej różnicy, ale już następnej przyjechałem do domu na dobre – zgodnie zresztą z jego życzeniem. Nie tęskniłem za stadnym życiem Oksfordu, szczerze mówiąc, byłem rad, że mam je już za sobą.

Tak naprawdę nigdy nie chciałem być nigdzie indziej niż właśnie w domu. Poza szkolnymi latami spędzonymi w Harrow, a potem w Oksfordzie, nie mieszkalem nigdzie poza tym domem, do którego przybyłem jako osiemnastomiesięczne niemowlę po śmierci moich młodych rodziców. Ambroży, na swój dziwny i wielkoduszny sposób zdjęty współczuciem dla maleńkiego sierotanego kuzyna, wychował mnie sam, tak jakby wychował szczenię czy kocię, czy jakiegokolwiek inne kruche, opuszczone i wymagające opieki stworzenie.

Nasz dom był dziwny od samego początku. Kiedy skończyłem trzy lata, Ambroży wyrzucił moją opiekunkę za to, że przetrzepała mi tyłek szczotką do włosów. Nie pamiętam owego epizodu, ale Ambroży mi o nim później opowiadał:

– Byłem wściekły, kiedy zobaczyłem, jak ta kobieta wielkimi, twardymi łapskami obrabia twoje małe ciało za jakieś drobne przewinienie, którego przyczyn w swej głupocie nie potrafiła zrozumieć. Potem już sam się zająłem twoim wychowaniem.

Nigdy nie miałem powodu tego żałować. Nie było chyba człowieka sprawiedliwszego i sympatyczniejszego, a zarazem bardziej wyrozumiałego. Nauczył mnie alfabetu w najprostszy sposób: według pierwszych liter brzydkich wyrazów. Znalezienie aż dwudziestu czterech kosztowało go trochę wysiłku, ale jakoś sobie poradził – po czym ostrzegł mnie przed używaniem tych słów w towarzystwie. Choć bardzo uprzejmy, był szalenie nieśmiały i nieufny wobec kobiet: uważał, że zawadzają w domu. Zatrudniał więc tylko służbę męską, powierzając pieczę nad nią staremu Seecombe’owi, który był zarządcą jeszcze u mojego wuja.

Ekscentryk, być może – zachód Anglii zawsze słynął z dziwaków – ale poza opiniami na temat kobiet i wychowania małych chłopców Ambroży nie był stuknięty. Sąsiedzi lubili go i poważali, a dzierżawcy po prostu kochali. Zimą, zanim połamał go reumatyzm, strzelał i polował, latem łowił ryby z małej żaglówki, którą trzymał na kotwicy u ujścia rzeki, odwiedzał innych i sam przyjmował u siebie gości, kiedy miał na to ochotę, w niedzielę dwa razy chodził do kościoła, choć gdy kazanie było za długie, robił do mnie miny sponad rodzinnej ławki, a także, jak mógł, starał się zaszcześcić we mnie zamiłowanie do hodowania rzadkich roślin.

– To taka sama forma tworzenia – mawiał – jak każda inna. Niektórzy hodują zwierzęta; ja wolę to, co rośnie w zie-

mi. Wymaga mniej wysiłku, a wyniki są znacznie bardziej satysfakcjonujące.

Oburzało to zawsze mojego chrzestnego ojca, Nicka Kendalla, i pastora Huberta Pascoe, a także innych przyjaciół Ambrożego, którzy go namawiali, żeby się wreszcie ożenił i zamiast rododendronów hodowałariatę.

– Wychowałem jednego szczeniaka – odpowiadał, ciągnąc mnie za ucho – co mi zabrało czy może dołożyło dwadzieścia lat życia, zależy jak się na to spojrzy. W Filipie mam gotowego spadkobiercę, nie mówmy więc o obowiązku. On go za mnie spełni, kiedy przyjdzie czas. A teraz, rozsiądźcie się, panowie, wygodnie w fotelach i bawcie się dobrze. Nie ma w domu kobiet, więc możemy kłaść nogi na stół i pluć na dywan.

Naturalnie nic takiego nie robiliśmy. Mój wuj był bardzo wytwornym człowiekiem, ale ogromnie lubił robić takie uwagi wobec nowego pastora, biednego pantoflarza z pokaźną trzódką córek. Tak więc po niedzielnym obiedzie krążyło wokół stołu wino, a Ambroży ze swojego honorowego miejsca puszczał do mnie oko. Widzę go jeszcze dzisiaj, jak na wpół leży w swoim fotelu, lekko przygarbiony – od niego zresztą nabrałem tego zwyczaju – trzęsąc się od hamowanego śmiechu, którym kwitował nieśmiałe i nieskuteczne protesty pastora, a następnie jakby w obawie, że go uraził, zmienia temat rozmowy, intuicyjnie przechodząc do problemów dogodniejszych dla duchownego i robiąc wszystko, żeby gość czuł się jak u siebie w domu. Te zalety Ambrożego doceniałem szczególnie po wyjeździe do Harrow. Wakacje mijały mi o wiele za szybko, kiedy porównywałem jego sposób bycia z towarzystwem urwisów, których miałem za szkolnych kolegów, i nauczycieli, sztywnych i poważnych, a przez to mało ludzkich.

– Nie przejmuj się – mawiał, poklepując mnie po ramieniu, kiedy blady i trochę zapłakany wyruszałem do Londynu. – To po prostu proces nauki, jak ujeżdżanie konia, trze-

ba przez to przejść. A kiedy już będziesz miał szkolne lata za sobą, a będziesz je miał, zanim się obejrzyysz, przywiozę cię do domu na dobre i sam się zajmę twoją dalszą edukacją.

– Edukacją w jakim kierunku?

– No, jesteś przecież moim dziedzicem. Już samo to wystarczy za profesję.

I tak jechałem ze stangretem Wellingtonem do Bodmin, by tam złapać odchodzący do Londynu dylizans. Pamiętam, jak się odwracałem, żeby jeszcze przez chwilę popatrzeć na Ambrożego, jak stoi w otoczeniu psów, z wyrazem pewności i zrozumienia w zmrużonych oczach, z gęstą wijącą się czupryną, która już zaczynała siwieć. I kiedy zagwizdawszy na psy, zbierał się do odejścia, przełykałem bryłę, którą miałem w gardle, czując pod sobą koła powozu nieubłagane i ostatecznie unoszącego mnie żwirowanym podjazdem, przez park i białą bramę, koło stróżówki, ku szkole i rozłące.

Nie wziął jednak w rachubę swego zdrowia i kiedy miałem już szkołę i uniwersytet za sobą, na niego przyszła kolej wyjechać.

– Powiedzieli mi, że jeśli jeszcze jedną zimę spędzę w strugach deszczu, to skończę na wózku inwalidzkim. Muszę poszukać słońca. Niech to będą wybrzeża Hiszpanii czy Egipt, gdziekolwiek nad Morzem Śródziemnym, gdzie jest sucho i ciepło. Nie mam specjalnej ochoty wyjeżdżać, ale niech mnie diabli, jeśli chciałbym skończyć jako kaleka. Ten wyjazd ma jedną zaletę: przywiozę rośliny, jakich nie ma nikt. Zobaczmy, czy tym szelmom spodoba się kornwalijska gleba.

Pierwsza zima nadeszła i minęła; podobnie druga. Ambroży musiał dobrze się bawić i nie sądzę, żeby czuł się samotny. Wrócił z niebywałą wprost liczbą drzewek, krzewów i roślin ozdobnych wszelkiego kształtu i koloru. Jego namiętnością były kamelie. Założyliśmy więc szkółkę samych kamelii i – czy to z powodu zręcznych palców Ambrożego, czy

jego czarodziejskiego dotyku, nie wiem – w każdym razie rosły nam wspaniale od samego początku i nie straciliśmy ani jednej.

Mijały miesiące; nastąpiła trzecia zima. Tym razem Ambroży zdecydował się na Włochy. Chciał zwiedzić ogrody Florencji i Rzymu. Żadne z tych miast nie jest w zimie upalne, ale to mu nie przeszkadzało. Zapewniono go, że powietrze tam jest suche, choć chłodne, i nie trzeba się obawiać deszczu. Tego ostatniego wieczoru rozmawialiśmy do późna. Ambroży nigdy nie kładł się wcześniej i często przesiadywaliśmy w bibliotece do pierwszej czy drugiej w nocy – czasem w milczeniu, czasem pograżeni w rozmowie – z długimi nogami wyciągniętymi przed kominkiem i z psami zwiniętymi w kłębki u naszych stóp. Jak już mówiłem, nie miałem wtedy żadnego złego przeczucia, ale teraz, wracając pamięcią do tamtych chwil, zastanawiam się, jak to było z Ambrożym. Patrzył zatroskany, pełnymi zadumy oczami to na mnie, to na wykładane boazerią swojskie ściany biblioteki ze znajomymi obrazami, to znów przenosił spojrzenie na ogień w kominku, a z ognia na śpiące psy.

– Szkoda, że nie możesz ze mną jechać – odezwał się nagle.

– Spakowanie się nie zajmie mi wiele czasu – odrzekłem.

Pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

– Żartowałem – powiedział. – Nie możemy zostawić domu na tyle miesięcy. Bycie ziemianinem to ogromna odpowiedzialność, chociaż niewielu podziela mój pogląd w tej sprawie.

– Mogłbym z tobą pojechać do Rzymu – zaproponowałem podniecony tą perspektywą – i jeśli mnie nie zatrzyma pogoda, wrócić na Boże Narodzenie.

– Nie – odrzekł powoli. – To był taki kaprys. Zapomnij o tym.

– Ale czujesz się dobrze, prawda? Nie dokuczają ci żadne bóle ani strzykania?

– Mój Boże, nie! – Roześmiał się. – Za kogo ty mnie masz? Za inwalidę? Od miesiący nie wiem, co to reumatyzm. Wiesz co, chłopcze, problem polega na tym, że ja mam fioła na punkcie domu. Może jak będziesz w moim wieku, łatwiej to zrozumiesz.

Podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Rozsunął ciężkie zasłony i stał tak przez chwilę, patrząc na trawę. Wieczór był cichy, spokojny. Kawki odleciały, zamilkły nawet sowy.

– Jestem zadowolony, że skończyliśmy ze ścieżkami i przysunęliśmy trawę do domu – powiedział. – A będzie jeszcze ładniej, kiedy murawa dojdzie aż do padoku. Będziesz musiał kiedyś powycinać tamte krzewy, żeby otworzyć widok aż na morze.

– Co chcesz powiedzieć przez to, że ja będę musiał powycinać krzewy? Dlaczego nie ty?

Nie od razu odpowiedział.

– Na jedno wychodzi – odezwał się wreszcie. – Na jedno wychodzi. Bez różnicy. W każdym razie pamiętaj o tym.

Mój stary wyżeł Don podniósł łeb i spojrzał na Ambrożego. Widział w przedpokoju powiązane pudła i czuł atmosferę towarzyszącą wyjazdowi. Dźwignął się na łapy i stanął koło niego ze spuszczonego ogonem. Zawołałem cicho na psa, ale mnie nie posłuchał. Wystukałem fajkę do kominka. Zegar na dzwonnicy wybił godzinę. Z pomieszczeń dla służby dochodził dudniący głos Seecombe’a, łającego chłopca z pokoju kredensowego.

– Ambroży... – poprosiłem – Ambroży, weź mnie ze sobą.

– Filipie, nie bądź głupi, idź do łóżka. – I to było wszystko.

Więcej na ten temat nie rozmawialiśmy. Nazajutrz rano przy śniadaniu wydał mi jeszcze ostatnie polecenia co do wiosennego sadzenia roślin i różnych innych spraw, które miałem połatwiać przed jego powrotem. Coś mu strzeliło do głowy, żeby w podmokłej części parku od strony wschodniej alei do-

jazdowej zrobić staw z łabędziami, i wobec tego gdyby się w zimie trafiła znośna pogoda, należało ten teren wykarczować, zrobić wykop i go wymurować. Chwila odjazdu nadeszła zbyt szybko. O siódmej byliśmy już po śniadaniu, bo Ambroży musiał wcześniej wyruszyć. Miał przenocować w Plymouth i stamtąd odpłynąć, z poranną falą, statkiem handlowym do Marsylii, skąd, nie śpiesząc się, innym środkiem transportu zamierzał dostać się do Włoch; lubił długie podróże morskie. Ranek był rześki i wilgotny. Wellington podstawił pod same drzwi powóz, który już wkrótce został wysoko załadowany bagażem. Konie były niespokojne, skore do biegu. Ambroży położył mi rękę na ramieniu.

– Opiekuj się domem – powiedział. – Polegam na tobie. Nie zawieź mnie.

– To cios poniżej pasa – odparłem. – Przecież wiesz, że nigdy cię nie zawiodłem.

– Zwaliłem wielki ciężar na twoje młode barki. Tak czy siak, wszystko, co posiadam, jest twoje, dobrze o tym wiesz.

Jestem przekonany, że gdybym się uparł, pozwoliły mi jechać. Ale nie odezwałem się już słowem. Wsadziliśmy go z Seecombe'em do powozu, z kocami i laskami, a on uśmiechnął się do nas przez otwarte okno.

– W porządku, Wellington, jedziemy – powiedział. Kiedy ruszyli podjazdem, właśnie zaczynało padać.

Mijały tygodnie, jak tamtej pierwszej i drugiej zimy. Tęskniłem za Ambrozym, jak zwykle, ale była masa spraw, które mnie absorbowały. Kiedy czułem się samotny, jechałem w odwiedziny do mojego chrzestnego ojca, Nicka Kendalla, którego jedyna córka, Luiza, o kilka lat ode mnie młodsza, była moją towarzyszką zabaw w dzieciństwie. Poważna dziewczyna, skromna i ładna. Ambroży żartował sobie czasem, że bę-

dzie z niej dla mnie dobra żona, ale nigdy tak o Luizie nie myślałem.

Mniej więcej w połowie listopada przyszedł pierwszy list – tym samym statkiem, którym Ambroży dostał się do Marsylii. Rejs upłynął spokojnie, pogoda była ładna, poza drobnym kołysaniem w Zatoce Biskajskiej. Czuje się dobrze, jest w dobrym nastroju i cieszy się na podróż do Włoch. Nie zdecydował się na dyliżans, co by tak czy siak oznaczało podróż do Lyonu, tylko wynajął rozstawne konie i postanowił jechać wzdłuż wybrzeża do Włoch, a potem skręcić w kierunku Florencji. Wellington pokiwał głową na tę wiadomość, przepowiadając wypadek. Był święcie przekonany, że wśród Francuzów nie ma dobrych woźniców, a wszyscy Włosi są złodziejami. Ambroży jednak przeżył to jakoś i następny list nadszedł już z Florencji. Wszystkie te listy zachowałem i cały ich stos leżał teraz przede mną. Ileż razy czytałem je w ciągu ostatnich miesięcy, obracając każdy w kółko, jakbym przez sam dotyk mógł z nich wyciągnąć więcej, niż chciały zdradzić słowa.

Właśnie pod koniec tego pierwszego listu z Florencji, gdzie najwyraźniej spędził Boże Narodzenie, po raz pierwszy wspomniał o kuzynce Racheli.

Poznałem naszą kuzynkę – pisał. – Słyszałeś pewnie kiedyś, jak mówiłem o Corynach, którzy mieli posiadłość nad Tamarem, obecnie sprzedaną i znajdującą się w innych rękach. Jak się możesz przekonać, studiując nasze drzewo genealogiczne, dwa pokolenia temu Corynowie połączyli się z Ashleyami przez małżeństwo. Potomek tej gałęzi rodziny, kobieta, urodziła się ze zubożałego ojca i matki Włoszki i została wychowana we Włoszech. W młodym wieku poślubiła włoskiego arystokratę o nazwisku Sangalletti, któ-

ry rozstał się z życiem w pojedynku, jak się wydaje po pijanemu, zostawiając żonę w długach i z wielką pustą willą. Bez dzieci. Contessa Sangalletti czy też, jak każe się nazywać, moja kuzynka Rachela, to kobieta rozsądna i świetny kompan – wzięła na siebie obowiązek pokazania mi ogrodów Florencji, a później Rzymu, który, jak się okazuje, mamy odwiedzić w tym samym czasie.

Byłem rad, że Ambroży znalazł sobie towarzystwo, i to jeszcze kogoś, kto podzielał jego ogrodnicze pasje. Nic nie wiedząc o życiu towarzyskim Florencji czy Rzymu, obawiałem się, że niewielu Anglików tam spotka, ale znalazła się oto jedna przynajmniej osoba, która jeszcze do tego częściowo wywodziła się z Kornwalii, co ich dodatkowo łączyło.

Następny list zawierał niemal wyłącznie wykaz ogrodów, które, choć nie w rozkwicie o tej porze roku, zrobiły jednak na Ambrożym wielkie wrażenie. Podobnie jak i nasza kuzynka.

Zaczynam coraz bardziej cenić naszą kuzynkę Rachelę – pisał Ambroży wczesną wiosną – i z przykrością myślę o tym, ile musiała wycierpieć od tego Sangallettiego. Ci Włosi to zdradliwi szubrawcy, nie da się zaprzeczyć. Z zachowania i wyglądu jest tak angielska jak Ty i ja i z powodzeniem jeszcze wczoraj mogła żyć nad Tamarem. Może bez przerwy słuchać o Anglii i o tym wszystkim, co mam jej do powiedzenia. Jest wybitnie inteligentna, ale Bogu dzięki, potrafi trzymać język za zębami. Nie muszę znosić nieustannego paplania, tak powszechnego u kobiet. Znalazła mi bardzo wygodne pokoje we Fiesole, niedaleko jej willi, a ponieważ robi się coraz cieplej, wiele czasu będę spędzał u niej, siedząc na tarasie albo dłubiąc